



Z NASZYCH KRAJOBRAZÓW.



13. Z OKOLIC KIJOWA

Fot. W. Męczyński

Kultura a ludność.

Część druga pracy—„cykl kultury”—jest rzeczą niezmiernie słabiutką, bo tu autorowi rwie się nawet sztuczna nić owej niby kulturalności niemieckiej w Beskidzie. Jak w pierwszej części autor nie wypowiada się wyraźnie, co uważa za kulturę, a jej cechy fantastycznie dobiera, aby je dopasować do niemieckości, tak w części II niewiadomo na jakiej zasadzie wprowadza zgrzybiałość kultury polskiej.

Na str. 67—8 Hanslik omawia zmniejszenie uprawy zbożowej i rozwój gospodarstwa stawowego w Beskidzie Zachodnim w XVI wieku i niechący zdaje egzamin z dość głębokiej nieznajomości dziejów gospodarki społecznej. Autor powołuje się na zmianę cen, a tu wchodziły w grę przyczyny dziejowe, które dla antropogeografa zawsze będą wdzięcznym tematem: upadek drogi handlowej na wschód przez Kraków i Lwów, spowodowany wynalezieniem drogi morskiej do Indyi, oraz przeniesienie punktu ciężkości handlu międzynarodowego nad Atlantyk dla autora jak gdyby wcale nie wpływały na życie gospodarcze Krakowa i pogórza w Beskidzie Zachodnim.

Wędrówki pasterzy multańskich ze stadami owiec wzdłuż krawędzi Karpat i dolinami podłużnymi aż do rzeki Beczwy na Morawach, będące w wieku XVI następstwem nieopłacalności zboża i ciężkich warunków gospodarczo-społecznych nad Prutem, powinny wywołać porównanie z Anglią i Holandją, gdzie w tym czasie i nieco wcześniej owca wypierała rolnika. Ten ciężki okres dla ludności rolniczej omawianych krajów dzieje powszechne uważają za początek uprzemysłowienia Anglii — analogiczne zjawisko w Beskidzie Zachodnim Hanslik uważa za objaw zgrzybiałości. Dlaczego — niewiadomo, chyba dla tego, że ci pasterze nie byli Niemcami.

Taką samą cechą ma być zalanie miast przez Żydów. Kiedy ono nastąpiło — dla autora jest rzeczą obojętną, w rzeczy samej obecność Żydów w naszych miastach była nieznaczna aż do wojen szwedzkich i kozackich w wieku XVII i dopiero od końca tego stulecia datuje się rzeczywisty początek zalewu, który np. na Podkarpaciu ostatecznie się dokonał za rządów austryjackich. Wyraźny

związek pomiędzy ilością Żydów a politycznym upadkiem państwa i niezdrowymi stosunkami gospodarczymi dla autora nie istnieje, natomiast ma to być objawem zgrzybiałości kultury polskiej!


Na str. 95 dowiadujemy się, że bodźcem do nowego rozwoju kulturalnego krajów podkarpackich było jedynie przejście pod panowanie Austrii; nie wiem, czy autor ma na myśli ultra-austriacką działalność Szeli, ale jak dobroczynna była opieka Austrii, to najlepiej widać z dzisiejszego smutnego stanu Galicji, — a przecież przez ostatnie 40 lat kraj ten dużo sam uczynił dla swego podniesienia.

Logiczne łamańce autora na temat zgrzybiałości wywołały nawet dość kwaśną uwagę prof. wiedeńskiego, Alfreda Grunda, że jeżeli dziś ludność polska woli zdobywać rolę na górach zamiast iść do miast, to nie może to być uważane za objaw starczy, lecz raczej za młodzięcość kultury (recenzja w Geogr. Zeitschr. 1908).

Na str. 109 czytamy: „w wiekach średnich ludy słowiańskie nie doszły do zróżniczkowania swej ludności na wiejską i miejską, i to było jedną z zasadniczych różnic ich kultury”. Przypuszczam, że bezstronniejsze badania dziejowe wieków średnich dałyby nam inny obraz, a mianowicie, że zróżniczkowanie społeczne poczynało się zjawiać samorzutnie, rozwijało się, a mieszczaństwo niemieckie przybyło wtedy, kiedy rozwój społeczny już temu odpowiadał, bo zresztą miasta wszędzie powstawały przy pewnej pomocy z zewnątrz — w Niemczech południowych i zachodnich rzymianie je założyli.

Gdy na tej samej str. 109 czytamy, „żegłęboka różnica języków, która istnieje pomiędzy szczepem germańskim a słowiańskim, musi stanowić znaczną przeszkodę dla rozszerzenia kultury”, to uczuwamy poważną wątpliwość, czy to pisze uczonego, czy też nąjęty pismak bismarkowski.

Właściwą podstawę granicy międzykulturalnej autor upatruje w granicy między umiarkowanym, łagodnym klimatem, a bardziej surowym, łądowym; w pierwszym plemiona germańskie mogły rozwi-



jać kulturę; w drugim słowie nie staczają z przyrodą zbyt ciężką walkę, aby mogli nadmiar sił zużywać na podniesienie kultury. Autor uznaje, że to może być widoczne nie w szczegółach, lecz w ogólnym obrazie poszarpanej granicy tych kultur, badany zaś obszar (przedgórze i pogórze Beskidu Zachodniego) jest jakoby ilustracją — tu klimat przejściowy i tu kultura niemiecka chwieją się. Dopiero musiały się zjawić współczesne środki techniczne, aby przemódz klimat i glebę Europy wschodniej (ładna perspektywa: rozwój techniki społecznej ma pozwolić Niemcom na opanowanie obszarów klimatu lądowego).

Wobec tej historyzofii geograficznej należy stwierdzić, że omawiany przez autora pas o klimacie rzekomo tak wybitnie chwiejnym, przejściowym, ciągnący się od Gdańska przez Bramę Morawską do Tryestu, wcale nie jest zjawiskiem geograficznie wyraźnym. Z równym powodzeniem możnaby od niego na zachód i na wschód nakreślić pasy od gór aż do Bałtyku i każdy z tych pasów będzie klimatycznie przejściowym — ta bowiem przejściowość ciągnie się od Harcu aż do górnego Niemna, a więc zjawisko geograficzne przejścia od klimatu morskiego do lądowego jest tak niewyraźne, że czynnikiem kulturalno - społecznym być nie może.

Walka o byt ma być w klimacie lądowym tak ciężka, że przy pierwotnej technice człowiek nie może się kulturalnie rozwijać — tego gołostownego twierdzenia autor niczem nie popiera, bo w rzeczywistości słuszniej byłoby twierdzić, że dla pracy człowieka klimat umiarkowanie lądowy ma znaczną przewagę nad przejściowym — walka z przyrodą na ziemiach polskich nad Wisłą i Odrą może jest nawet nieco cięższa niż nad Dnieprem. Wprowadzać ten czynnik do walki plemiennej jest fantazją poetycką. Czasami autor zdradza naiwną niezajomość tych obszarów, o których wyrokuje; próbką niech będzie ustęp na str. 112: „niezmierzone lasy w Karpatach, w Rosyi, i w Polsce wyczekują siekiery, rozległe stepy — uprawy” — jeżeli o Karpatach mowa, to jedynie we Wschodnich są znaczne lasy, które i nadal muszą pozostać, bo warunki fizyczne na inne racjonalniejsze wyzyskanie ziemi nie pozwo-

lą, owe zaś lasy w Polsce i stepy w Rosyi są dziś o 50 lat spóźnionem gadulstwem.

Obalać wszystkie napotymane niedokładności, błędy, lub nieściśle rozumowania jest ze względu na łamy „Ziemi” niepodobiestwem — bo krytyka przerosłaby objętością samą pracę Hanslika, ale przytoczonych danych wystarczy, aby uznać, że 1) autor nie miał przed sobą celu naukowego, lecz uznając z góry (à priori) wszystko, co niemieckie, za kulturalne i odwrotnie, chciał udowodnić to założenie, jako niby wypływające (à posteriori) z jego badań; 2) autor używał sposobów dowodzenia metodycznie wątpliwych lub wręcz niedopuszczalnych; 3) fakty wybierał tylko nadające się do jego założenia, przemilczał zaś o sprzecznych; 4) nigdzie metodycznie się nie wypowiedział, co uważa za kulturę; 5) wybrał do zbadania obszar zbyt mały, aby bez porównania z dalej ciągnącymi się obszarami można było wywnioskować coś pewnego i 6) powołując się na zjawiska gospodarcze krajów odleglejszych lub na stosunki gospodarcze w przeszłości poza Bielskiem-Białą, wykazał rażący brak wiadomości.

Dytyrambiczne zakończenie autora: „tak przemawia natura w dziejach — kultura posiada swe prawa naturalne” brzmi niepoważnie, a dziwne wrażenie robi na czytelniku, który się już znużył nieskończonem łapaniem autora na przemilczeniach, nielogicznościach i omijaniu prawdy.

Praca d-ra Ludomira Sawickiego p. t. „Rozmieszczenie ludności w Karpatach Zachodnich” (w Krakowie, nakładem Akademii Umiejętności, 1910), daje nam przykład pracy wręcz niepodobnej do Hanslikowej. Czytelnikowi, który z jej zgłębienia duży może wynieść pożytek, radziłbym w pierw zaopatrzyć się w dobrą, dość szczegółową mapę fizyczną Karpat Zachodnich — nie wiem o istnieniu hypsometrycznej, taka byłaby najodpowiedniejsza — i wówczas kombinować ją z mapą gęstości zaludnienia na tablicy II (nieco zbyt schematyczną); czytanie książki należy rozpocząć od uważnego zaznajomienia się z dodatkiem statystycznym na str. 60—69. Te z benedyktyńską cierpliwością dokonane wyliczenia są zasadniczą tkanką całego dzieła, podstawą zaś „Fizyografia Karpat Zachodnich”, wydana przez autora o rok wcześniej. Autor powierzch-



64671 km. kw. rozbija na 176 jednostek fizyograficznych tak niewielkich, aby w każdej z nich ludność posiadała warunki istnienia, jeżeli nie jednolite, to przynajmniej możliwie podobne; te jednostki wahają się w znacznych granicach, bo kilka z nich przekracza 1000 km. kw., a kilkanaście posiada po kilkadziesiąt zaledwie klm. kw. Dla każdej takiej jednostki znajdujemy wyrachowaną powierzchnię i % całego rozpatrywanego obszaru, zaludnienie i % całej ludności, gęstość zaludnienia na 1 km. kw., ilość osad, przeciętny ich obszar i przeciętne zaludnienie. Drobne jednostki fizyograficzne są zgrupowane podług wielkich rysów morfologicznych, i przez to obszar między górną Wisłą, Bramą Morawską, Morawą, Dunajem, Slaną, Hornadem, Toryską, Popradem i Dunajcem rozpada się na szereg wielkich jednostek fizyograficznych, jako to górski łuk zewnętrzny i wewnętrzny. Pierwszy z nich, złożony z grzbietów podłużnych i t. z. Beskidu Zachodniego z Baranią Górą, Babią Górą, aż po Niedźwiedź i Radziejową, drugi zaś, składający się z trzonów górskich i przyle-

gających kotlin. Kotliny te w łuku zewnętrznym znajdują się tylko wyjątkowo (Żywiecka i Sądecka — największe, dodam, że najwyższej położona Zawojka), w łuku zaś wewnętrznym właściwych grzbietów górskich prawie niema. Między nimi istnieje wielki rów skalicowy, składający się z doliny Wagu, Orawy, Dunajca i Popradu; przedłużywszy go doliną Toryski i Hornadu, mamy podział nadzwyczaj prosty, a dobrze charakteryzujący całe Karpaty Zachodnie. Dalszy podział wyodrębnił niziny podkarpackie, pogorza beskidowe, krainę beskidową w łuku zewnętrznym oraz trzony górskie i kotliny z pogórzami w krainie centralnej. Autor zestawia dane fizyograficzne, a słusznie morfologiczne, ze szczegółami rozmieszczenia ludności i dochodzi do wyników bardzo wyraźnych (wpływ klimatu na możliwość uprawy roślin został prawie pominięty—w obszarze rolniczym o warunkach tak mozaikowo rozmaitych, byłoby rzeczą ciekawą zbadać wpływ tego czynnika na rozmieszczenie ludności).

(DN)

A. Sujkowski.



RYBOŁÓWSTWO NA NARWI.

Piękne jest wybrzeże Narwi! Niziny z jednej, a wysokie kilkadziesiąt łokci wzgórza z drugiej stro-

ny ciągną się tu naprzemian, tworząc malownicze wąwozy, doliny zamienione na pastwiska lub łąki,



trzęsące się błota, zarosnięte trzcina i sitowiem, dające schronisko stadom dzikich kaczek, czajek i innych mieszkańców błot. Pośród tych nizin rozległe miejsce zajmują torfowiska, kryjące w swem łonie torf, wraz z którym trafiają się rogi jeleni i łosi. Rozrzucone na wzgórzach miasta i miasteczka świecą zdaleka białymi ścianami domów i kwiatów, ciągnące się przeważnie z prawej strony Narwi lasy sosnowe—szczątki dawnych puszczy Nowogródzkiej i Myszynieckiej, szumią smutnie, jakby oczekując co chwila nie-
miłosiernej siekiery, która



już tysiące tych iglastych olbrzymów powaliła na ziemię.

Pośród tych wzgórz i dolin, lasów i torfowisk płyną spokojnie ciemne wody Narwi, niosąc na swym grzbiecie sznury tratwy, a na nich wesołych i dziarskich flisaków. Szczególnie ładnie, uroczyście niemal wygląda wybrzeże, gdy tratwy na noc przybijają do jakiego miasteczka, a flisacy, gotując sobie wieczernię, zapalają na nich dziesiątki ognisk i skracają sobie czas muzyką i śpiewami.

Nie tylko jednak Narew tu przepływa. Podtrzymują jej siły towarzyski - dopływy, jak Pissa ze Skrodą, Szkwa, Rozoga, a prócz nich wiele strumieni i strumyków, dążących jej na pomoc z nizin leśnych i grząskich błot. Liczne jeziora, sadzawki i doły z wodą stojącą tworzą razem dość malownicze dorzecze, na którym rozsiadły się osady rolne i wioski, rozrzucone na piaskach i zamieszkałe przez lud, co to

umie bardzo wiele:
ziemię orze, zwierza strzela,
ma miód w barci, w boru grzyby,
w łąkach owce, w wodzie ryby;
a że w łapiach
śmiga w lesie,
więc dlatego Kurpie
zwie się.

Kurpie, zamieszkujący tutejsze okolice, słynęli dawną jako zdolni myśliwi, pszczelarze i rybacy. Zdolność ta przejawia się do dziś w ich urozmaiconych sposobach łowienia ryb. Myśliwstwo z braku kniei upadło prawie zupełnie, pszczelnictwo dźwiga się dopiero na nowo po zniesieniu bractwa bartniczego. Pozostało tylko rybołówstwo, lecz i to z czasem przestanie istnieć jako przemysł z braku racyo-

nalnej gospodarki rybnej, ryb bowiem jest coraz mniej i jeżeli jeszcze przed laty kilkudziesięciu rybacy nadbrzeżni prócz zwykłego podatku dawali do rządów miejskich po 60 „szczuk łokciowych”, to dziś rybak przez cały rok tych szczupaków choćby półłokciowych nie złowi.

Ryby w Narwi i w wodach dopływających są mniej więcej takie, jak i w wodach całego obszaru Królestwa Polskiego. A więc: szczupaki („szczubły” i małe „szczubelki”), okonie, płotki („płocie”, „ploteczki”), kielbie (mały zwyczajny i duży „wiślany”), uklejkki („oklejkki, okleje”), leszcze (małe „krąpie”), jazie, brzany, jazgarze („jezgarze”), rapy,

sumy, jaglasy („jeglasy”), klenie („kleniki”), miętusy („miętusy”), koluszki („kаты”), kozy i piskorze w błocie, liny i karasie w dołach nad Narewią, „olszówki” — w dołach leśnych i wegorze najczęściej w dopływach Narwi płynących z Prus. Raki, których dawniej było mnóstwo, zwłaszcza w dopływach, wyginęły dziś prawie zupełnie i znajdują się gdzie indziej tylko w pobliżu młynów wodnych

1) Wyrazy w cudzysłowach oznaczają nazwy miejscowe.



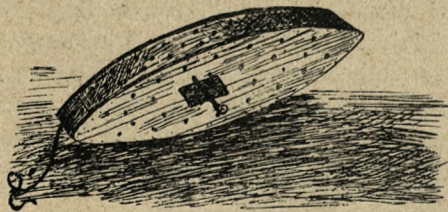
Z WĘDKA NA ROBAKI

fol. A. Chętnik



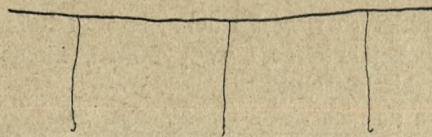
NAREW MIĘDZY NOWOGRODEM A OSTROŁĘKA

fol. W. Stalski



„SADZYK”

rys. A. Chętnik



„SZNURY”

w dużych strumieniach. Zniknięcie raków jedni przypisują moczeniu lnów, a inni prusakom, którzy według opowiadania rybaków zatruli czemś wodę, od czego raki znikły prawie doraźnie.

Ryby łowią tu na wędki („władki”) i sieciami. Wędki i sieci są różne, zależnie od tego, jakie gatunki ryb mają być niemi łowione.

Każda wędka składa się z długiej wici leśczynowej czyli wędziska, sznura czyli włośni, haczyka stalowego czyli „kielka” i spławka czyli „stróża”, który zrobiony jest z pióra, drzewa, kory i t. p. materiałów lekkich. Odległość między spławkiem a haczykiem nazywa się tu u rybaków „spustem”, który bywa mniejszy i większy, zależnie od głębokości wody i gatunku wędki. Na wędki łowią wszystkie ryby, prócz linów, karasi, miętusów, piskorz i węgorzy. Kuluszek i kóz nikt nie łowi, chyba dla kotów płachtami przy praniu bielizny. Czasami też używają kóz do łapania węgorzy.

Wędek jest kilka gatunków:

1) wędka „na muchy”, cienka i lekka z długą włośnią, z małym (1—1½ cala) spławkiem, odległym od haczyka na pół lub ¾ łokcia. Włośnia kręcona w 4 włosy z małym haczykiem. Na haczyk zasadza się muchy, jętki i inne drobne owady. Taką wędką łowi się oklejkę (na głębinach), jągłasy na miejscach płytkich („blatach”) i płotki (w zielisku). Czasami można złapać jazika, klenia, okonia. Muchy, jętki i inne owady łowią rybacy wprost rękami, do czego potrzeba pewnej umiejętności i wprawy.

2) Wędka „na robaki” — mocniejsza od poprzedniej, na końcu wędziska posiada zakończenie z wici jałowcowej czyli „fat”. Włośnia jest krótsza, w sześć lub osiem włosów kręcona; haczyk posiada większy, spławek zaś zrobiony jest z większego pióra, korka lub kory sosnowej. Odległość między spławkiem a haczykiem wynosi parę łokci, prócz tego powyżej haczyka znajdują się ciężarki z ołowiu („gręzy”), które pogrążają zasadzonego robaka na dno rzeki. Na haczyk zasadza się glistę albo zmięte kulki chleba czarnego lub pytlowego. Na wędkę taką łowią się okonie, płotki, krąpie, klenie, jaziki, jazgarze i kielbie. Kielbie łowi się w miejscu o bystrej wodzie i dnie kamienistym,

okonie zaś, jazgarze i płotki w zielisku, przeważnie między grzybieniem. Robaki kopie się w ziemi wilgotnej lub wybiera się z pod kęp trawy nad wodą, najlepsze są średnio grube, czerwonawe. Trzyma się je w naczyniach z żółtym piaskiem, najczęściej w wydrążonych rogach bydłych, zawieszonych na szyi przy pomocy sznurka.

3) Wędka „szczupakówka”, duża, mocniejsza od poprzedniej. Włośnia gruba z 20 włosów. Włośnię czasem zastępuje sznur z nici lub jedwabiu. Haczyk jest duży i przywiązany do mosiężnego druczka, inaczej bowiem szczupakby włośnię ugryzł. Spławek jest duży z pióra i korka, ciężarków dużo, „spust” na parę łokci. Łowią szczupaki z łądu na głębokiej wodzie lub z łódki, jadąc z biegiem rzeki. Na haczyk zasadza się „żywca”, to jest żywą małą rybę, kielbia lub oklejkę, przyczem zaczepia się ją za wierzchnią lub czasem dolną wargę. „Żywce” trzyma się w glinianem naczyniu z wodą lub w łódce na dnie.

4) Wędka „na brzany”. Wędzisko mocne, jak u poprzedniej, włośnia jednak jest cieńsza o połowę. Haczyk większy nieco, niż u wędki № 2, spławek zaś jak u szczupakówki. Ciężarków jest dużo, „spust” dochodzi do sążnia. Łowi się tą wędką brzany, jazie, leszcze i płocie. Łowienie odbywa się z łódki na głębokiej i bystrej wodzie. Na haczyk zasadza się groch gotowany na miękko, a czasem chleb lub robaki.

Rybak z wędką № 4 posiada na rzece swoje własne miejsce, którego nie opuszcza prawie przez całe lato. W wodę za każdym razem rzuca przynętę, którą urządza się z gliny pomieszanej z glistami, grochem, żytem gotowanem lub chlebem. Urobione z takiej masy kule, jakby kotlety, rybak rzuca na dno rzeki w miejsce, które sobie upatrzył. Na połów przychodzi dopiero nazajutrz rano, gdy do gliny, z której woda wypłukuje powoli zawarte tam specjały, zgromadzi się dużo ryb. Wpuszczony w takie miejsce na haczyku zaczepiony groch lub robak, zostaje natychmiast przez ryby schwytyany. W ten sposób łowi się ryby kilkofuntowe.

5) Wędka „gruntówka”. Duża, mocna, z długą włośnią i mocnym kielkiem. Ciężarków ma dosyć dużo, spławka zaś nie posiada wcale. Na haczyk zasadza się ziemniaki gotowane i rzuca się ją na wodę

w miejsce spokojne i głębokie w bliskości zarośli wodnych. Miękki ziemniak leży na dnie, gdzie chwytają go przeważnie duże rapy. Czy czas już wędkę wyciągnąć, czyli „podcinać”, pozna się po tem, że wędzisko w ręku zadrży mocno, gdyż

ryba, uciekając ze zdobyczą, ciągnie i wędkę ze sobą. Przeważnie w ten sposób łowią ryby ludzie starzy, mający słaby wzrok, którzy nie mogą dużo chodzić, siedzą na jednym miejscu dzień cały.

(DCN)

Adam Chętnik.

Z ekspedycji naukowej do Afryki.

Wprawdzie „Ziemia” zajmuje się przedewszystkiem krajoznawstwem polskiem, ale mimo to sądzę, że powinna zarejestrować i niniejszą rozprawę, która nie przez temat, lecz przez autora do naszej literatury naukowej należy, a mianowicie: *Badania w międzyrzeczu Nilu i Kongo*. Kraków, 1910, str. 64 i 4 tablice. (Odbitka z *Rozpraw Akad. Umiej. wyd. matem.-fizycznego*, t. 50, serya B). Dr. Jan Czekanowski.

Szczęśliwym trafem dane było p. Czekanowskiemu wziąć udział w charakterze antropologa i etnografa w niemieckiej ekspedycji naukowej do Afryki Środkowej pod kierunkiem księcia Adolfa Fryderyka Meklemburskiego. Praca niniejsza jest krótkim sprawozdaniem z dwuletnich badań od maja 1907 do kwietnia 1909 r. na terytorium między jeziorem Wiktoryą a górnymi dorzecziami Kongo i Nilu, badań, prowadzonych mimo opieki rządu niemieckiego i belgijskiego wśród niesłychanie trudnych warunków, w których życiu badacza groziła ciągle malarya, śpiączka lub broń krajowców. Z jaką zdumiewającą energią, z jak świetnymi rezultatami prowadził badania dr. Czekanowski, świadczy wymownie ta rozprawa, zawierająca tymczasowe ich rezultaty. Znakomitą wartość d-ra Czekanowskiego jako naukowego eksploatatora, uznało też odrazu kierownictwo ekspedycji, pozwalając mu pozostać drugi rok, kiedy inni członkowie ekspedycji powrócili po roku.

Oto kilka cyfr wykazujących ilość zebranych materiałów. Dr. Czekanowski zebrał:

czaszek i kościców	1018
wykonał pomiarów antropologicznych, według dużego schematu	450
według mniejszego schematu	4067
zdjął masek gipsowych	36
wykonał zdjęć fotograficznych	560
spisał słowniki języków	3
utrwał na fonografie melody	8
zebrał (kupił) przedmiotów	1967

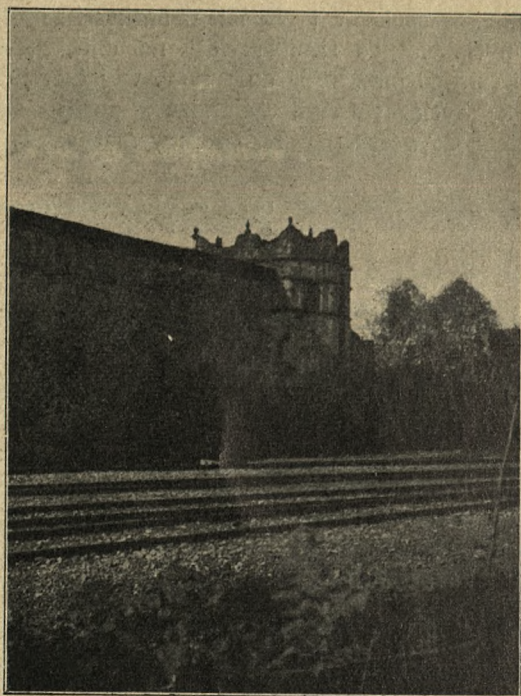
Całość przedstawia się więc, jak spore muzeum antropologiczno- etnograficzne, opracowanie zaś obejmuje dwa ogromne tomy w specjalnej publikacji, poświęconej tej wyprawie naukowej. Pierwszy rozdział swej pracy poświęca dr. Czekano-

wski ekspedycyi, jej organizacyi i kosztom, słowem, technicznej i ekonomicznej stronie wyprawy i ten też rozdział wydaje mi się dla naszego społeczeństwa najważniejszy. Udział polaków w pracach naukowych, w posuwaniu wiedzy jest bardzo skromny, stoimy daleko poza małymi narodami zachodnio-europejskimi, takimi, jak np. holendrzy, szwedzi; szczególnie zaś mizerny jest nasz udział w badaniach geograficznych, w wyprawach naukowych. Na palcach policzyć możemy polaków, którzy się odznaczyli w badaniach nieznanych lądów i mórz w ciągu ostatniego stulecia, gdy norwegowie i duńczycy mogą się pochłubić dziesiątkami nazwisk, między którymi świecą gwiazdy pierwszej wielkości. Jest to dotkliwa luka w naszej literaturze. Usprawiedliwiamy się zwykle naszym ubóstwem. Czy jednak słusznie? Zobaczmy, ile kosztowała dwuletnia, zupełnie dobrze wyekwipowana wyprawa d-ra Czekanowskiego. Oto nie więcej niż 35,000 marek, t. j. 17—18,000 rubli. Na taki wydatek stać niewątpliwie nasze społeczeństwo, nawet na dwa razy większy, to jest na wydanie tej kwoty w ciągu jednego roku. Co pewien czas czytamy w dziennikach wiadomości, że się organizuje polska wyprawa myśliwska do Indyi lub do Afryki, umiemy więc trafić do odległych krajów dla wrażeń, dla przyjemności. Czyż nie moglibyśmy się zdobyć także na wyprawy naukowe? Sądzę, że tak. Tylko brak nam myśli, brak organizacyi, brak inicjatywy naszym uczonym. Gdybyśmy nawet nie liczyli na hojność ludzi bogatych, to nasze instytucje naukowe, nawet niektóre nasze instytucje społeczne, o ileby tylko wspólnie zechciały działać, mogłyby niejedno tego rodzaju przedsięwzięcie w większym nawet stylu przeprowadzić.

Zaliczamy się do wielkich narodów o starej kulturze, spoglądamy z góry na narody mniejsze i w kulturze młodsze, z pewną chlubą podnosimy, że na polaka wszędzie na kuli ziemskiej natrafić można, z zadowoleniem wyrażamy się o naszej znajomości geografii i znajomości obcych krajów, ale czy słusznie? Czy podróżujemy po innych krajach, poza Niemcami, Francją i Włochami? Prawie wcale nie. Czy bierzemy udział w mię-

dzynarodowych zjazdach naukowych? W najlepszym razie na takim zjeździe znajdzie się paru przygodnych uczestników polskich, najczęściej jednak i takich nawet przygodnych uczestników brak. Czy polacy biorą udział w tych najnowszych postępach kultury, które są zarazem nowymi gałęziami sportu? Czy choć jeden polak odznaczył się w kolarstwie, w automobilizmie, w lotnictwie? A przecież na udział w tym ruchu stać nawet małe narody, jak duńcy, którzy liczą tylko 2 i pół miliona ludności, i takie nawet, jak peruwiańczycy, brazylijanie. Co robi nasza arystokracja i plutokracja, kiedy nie ma ambicyi współzawodniczenia bodajby na tych polach modnych sportów z innymi narodami, nie pożąda odznaczenia się? Wszak nie z braku inteligencyi, nie z braku odwagi, sił fizycznych i środków materialnych nie ma jej w pierwszych szeregach światowego ruchu sportowego — tylko z braku woli, powiedzmy otwarcie, z wrodzonego lenistwa, z gnuśności myśli i ciała. Smutne to przedewszystkiem dla nich, ale smutne także i dla całego społeczeństwa, i dlatego byłoby pożądanem, aby te sprawy poruszyła także nasza publicystyka.

Fr. Bujak.



GLÓWNA BASZTA ZAMKU STAROSIELSKIEGO.

□□□□□□□□□□□□□□□□

DWORY, ZAMKI i PAŁACE.

17) Zamek w Starem Siole.

Do najstarszych osad na Rusi Czerwonej należy niewątpliwie Stare Siolo, wieś w powiecie bobreckim, o dwadzieścia kilometrów na południowy wschód od Lwowa położona. Początkami sięga ono XII-go wieku, a założone zostało przez księcia Dawida Igorowicza, podobnie, jak sąsiedni Dawidów, biorący nazwę od imienia swego założyciela, który

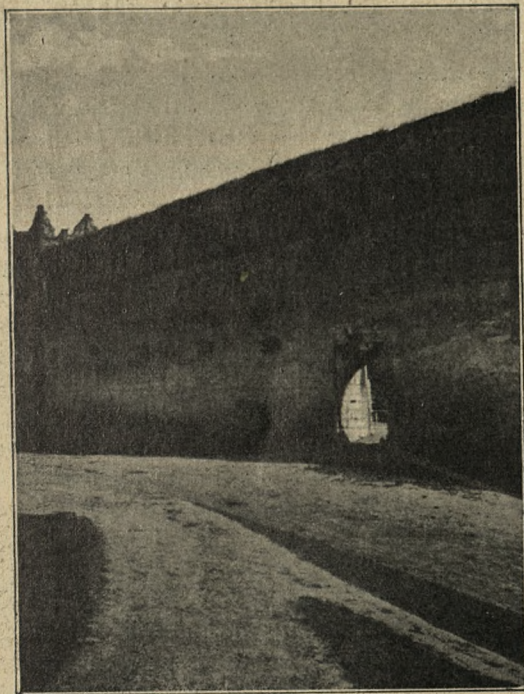
tu, wśród nieprzebranych wówczas lasów i bagien osadził niewolników, zdobytych w wyprawie na połowców, w jakiej wspólnie z Igozem putywelskim brał udział. Ale walka między Igorowiczami a Romanowiczami, w którą wmieszani byli także polacy i węgry, zniszczyła zupełnie te osady, i odtąd przeszło przez dwa wieki nic o nich nie wiemy. Dopiero po zajęciu Rusi przez Kazimierza Wielkiego następuje ponowna kolonizacja tych okolic.

Stare Siolo leży w pięknej lesistej okolicy, na krańcu płaskowyżu podolskiego, który w tem miejscu wznosi się na dość znaczną wysokość, („Chom” nad Hryniowem 441 m., „Kamuła” 477 m. nad poziom morza) i opada stromymi stokami, ku północy. Zabudowania wiejskie rozsiadły się w dolinie potoku Dawidówki, którą idzie szlak kolei czerniowieckiej.

Tuż u wjazdu do stacyi kolejowej widnieją mury starego, niegdyś obronnego zamku. Budowę jego rozpoczął w r. 1642 Władysław Dominik książę Ostrogi-Zasławski, wojewoda sandomierski i starosta łucki, dla obrony przed najazdem



ZAMEK STAROSIELSKI OD POŁUDNIA.



MURY OD PÓLNOCY

turków, tatarów i kozactwa. Ale zanim jeszcze zdołano zamek ukończyć, zniszczyli go doszczętnie w r. 1648 kozacy pod wodzą Chmielnickiego. W następnym już jednak roku podjęto budowę zamku na nowo i to w jeszcze większych niż poprzednio rozmiarach, gdyż mógł teraz pomieścić kilka tysięcy ludzi, i w ciągu pięciu lat ją ukończono.

Nowy zamek obronny okazał się tak silny, że gdy w r. 1655 Chmielnicki ponownie Lwów oblegał, nie kuśił się już bynajmniej o zdobycie zamku starosielskiego, zaopatrzonego w dostateczną załogę, broń i żywność.

Skutecznie również opierał się zamek starosielski w roku 1672 i następnych nawale tureckiej i kilkakrotnym napadom tatarów.

Po śmierci księcia Władysława Dominika, który zmarł tu w r. 1656, przeszły dobra starosielskie, a z niemi zamek, na Radziwiłłów, a po nich kolejno na Lubomirskich, Czartoryskich, a wreszcie Potockich. Dziś należy Stare Siolo do klucza podlowskiego dóbr Romana hr. Potockiego.

Zamek starosielski był co do rozmiarów jednym z największych na Rusi. Potężne jego mury, wysokie 8, a grube do 2 m., zamykają przestrzeń, wynoszącą mniej więcej cztery morgi, kształtu nieregularnego pięcioboku, opatrzonego po rogach wielobocznymi basztami. Mury wykonane z kamienia i cegły, tynki miejscami do dziś dnia zachowane. Ubikacje mieszkalne na piętro wysokie tworzą podwójny szereg otwartych krużganków, schodzących się w środku w wielkiej czworobocznej dwa piętra wysokiej baszcie. Na wewnętrznym jej frontonie widnieją dziś jeszcze inicjały fundatora (W. D. X. O. Z. W. S. L. S.), wraz z tarczą, mieszczącą herby Pół-Ogończyk i Pół-Leliwa. Zresztą wewnątrz zupełnie zniszczone; pozostały jedynie obramowania ciosowe drzwi i okien i wierzch ozdobiony wyniosłą atyką. Stronę zewnętrzną murów ponad gzymsem kordonowym zdobią pilastry impostowe połączone lukami.

Wspaniała, a i dziś jeszcze mimo przekształceń i zniszczenia imponująca swymi rozmiarami, książęca ongi siedziba, która gościła w swych murach w r. 1673 króla Jana III-go, zdążającego na Pokucie, — podupadała z biegiem czasu coraz bardziej, a zamieniona w końcu na browar i magazyny, chyli się już szybko ku zupełnemu upadkowi, a nikt niestety nie poczuwa się do obowiązku ratowania tego starodawnego zabytku dziejowego od ostatecznego zniszczenia ¹⁾.
W. F.

¹⁾ W ostatnim czasie grono konserwatorów zabytków historycznych dla Galicyi Wschodniej uchwaliło zwrócić uwagę Romana hr. Potockiego na opłakany stan zamku starosielskiego, będącego jego własnością, a wystąpienie to wywrze być może pożądany skutek.



STARA CERKIEWKA W SICHOWIE POD DAWIDOWEM

O prowadzeniu spostrzeżeń fenologicznych.


Ekologia i geografia roślin stwierdziły, że perydyczny rozwój roślin jest ściśle uzależniony od przeciętnego stanu atmosfery, czyli, że zjawiska fenologiczne i klimatyczne wzajemnie się warunkują; w takim razie fenologia powinna uważać za swoje zadanie wykrycie związku funkcjonalnego¹⁾ pomiędzy występowaniem faz rozwojowych jakiegokolwiek rośliny, a temi trzema współzrzednemi.

Naturalnie w tym wypadku upada to jednostronne i wyłączone uwzględnianie temperatury: oświetlenia opady atmosferyczne zaliczają się również do czynników fenologicznych. Chociaż, jak to wyżej zaznaczyłem, roślina posiada zdolność przystosowywania się do warunków klimatycznych, to jednakże istnieje jeszcze pewna różnica w czasie występowania faz rozwojowych roślin. Wraz ze zwiększającą się szerokością geograficzną, z wznoszeniem się nad poziom morza roślina opóźnia się znacznie w rozwoju; opóźnienie to, ewentualnie przyspieszenie, wyrażone w dniach, daleko lepiej subtelniej uwidocznią różnice klimatyczne dwóch miejscowości, wziętych do porównania, niż średnie wartości meteorologiczne, zwłaszcza, że i w praktyce daleko łatwiej używać za wskaźnik zmian klimatycznych pewne momenty rozwoju roślin, a nie narzędzia meteorologiczne. Zasadnicza metoda tak pojętej fenologii da się streścić w następujących słowach: podobnie jak się to praktykuje w klimatologii z wykreślaniem izotherm, wszystkie miejscowości, w których dana roślina znajduje się w jednakowym okresie rozwoju, łączymy na mapie zapomocą krzywych; krzywe te zwane isophanami (także isanthesy) ułatwiają nam zrozumienie zależności pomiędzy rozwojem rośliny a położeniem geograficznym. Pierwszą taką mapę fenologiczną jednoczesnego zakwitania czeremchy (*Prunus Padus*) sporządził w r. 1885 Hult dla Szwecyi, a później Hoffman dla Niemiec. Jednakże zasada kartograficzna, zastosowana przez tego ostatniego, posiadała wiele niedogodności. Wybierał on mianowicie Giessen, jako miejscowość normalną i oznaczał te wszystkie miejscowości jedną barwą, w których dany okres rozwoju, zazwyczaj zakwitania, występuje o jednakową ilość dni wcześniej lub później, niż w Giessen. Mapa tego rodzaju nie wyróżniała się wprawdzie swoją jasnością, jednak-

że pozwala już ocenić doniosłość zjawisk fenologicznych w scharakteryzowaniu właściwości klimatycznych badanych miejscowości. Jeżeli uważniej przyjrzymy się isophanom, zauważymy ich wyraźną tendencję opadania ku południowi wraz z posuwaniem się w głąb kontynentu. Klimat morski wyróżnia się swoją łagodną zimą i tutaj wegetacja prędzej zostaje uwolniona od szkodliwego działania chłódów, tak, że nawet przy stosunkowo nieznacznej ilości ciepła słonecznego, roślina wcześniej się rozwija. Pozornym wyjątkiem są nadbrzeżne miejscowości Belgii, gdzie, naprzykład, roślinność Ostendy opóźnia się w rozwoju w porównaniu z Bruksellą; łatwo można jednak to wytłumaczyć, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że woda trudniej się ogrzewa, niż ląd i że miejscowe wiatry morskie, wiejące codziennie, przenoszą niskie temperatury morza na ląd. Wcześniejszy rozwój roślinności w klimacie morskim dopiero tam się uwidoczni, gdzie się kończy bezpośrednio działanie morza. Na takiej mapie można również dostrzedz i opóźnianie się rozwoju roślinności wraz ze zwiększającą się szerokością geograficzną. Jakkolwiek pouczająca była mapa Hoffmana, posiadała ona jednak tę wadę, że razem z miejscowością normalną wprowadzała pierwiastek utrudniający czytanie jej. Dopiero E. Ihne usunął tę niedogodność, sporządzając mapę jednoczesnego zakwitania bzu (*Syringa vulgaris*) w Europie środkowej. Mapa Ihne'go różni się zasadniczo od map Hoffmana, ponieważ pozwala odczytywać wprost daty kalendarzowe. Wszystkie miejscowości, których różnica w zakwitaniu bzu wynosiła najwyżej 15 dni, są oznaczone jedną barwą i rzut oka na mapę wystarczy, aby nas przekonać, w jak subtelny sposób widoczne są różnice klimatyczne. Zauważymy naprzykład, że bez (*Syringa vulgaris*) zakwita pomiędzy 1—15 czerwca w następujących miejscowościach Europy: w południowej Szwecyi i miejscowościach nadbrzeżnych Norwegii od Christianii do Bergen; — w Rosyi nadbałtyckiej pomiędzy równoleżnikiem Moskwy na południu i 62-o na północy, w północnej Jutlandyi, w krajach podalpejskich, w niektórych miejscowościach gór środkowo-niemieckich i Karpat. W północnej i wschodniej Europie, gdzie nie ma gór isophany są prawie równoległe do równoleżników, z czego można wnioskować, w jak znacznym stopniu góry wpływają na rozwój roślinności. Później Ihne sporządził mapę fenologiczną jednoczesnego zacinania się wiosny¹⁾, nie w znaczeniu kalendarzowym,

¹⁾ Wyras funkcjonalny użyty tu nie wznaczeniu matematycznym, ale dla wyrażenia pewnej zależności.

¹⁾ Eug. Ihne. Phaenologische karte des Frühlingsinzuges in Europa. Petermannes Mitteilungen, 1905.



ale ekologiczno-fenologicznem. Ihne określa początek wiosny jako porę roku, w której zakwitają pewne charakterystyczne rośliny, jak: porzeczka, tarnina, trzcina, wiśnia, czeremcha, grusza, jabłoń, kasztan, bez, głóg, złoty deszcz, jarzębina i pigwa. Daty zakwitania tych 13 roślin łączymy w jedną datę średnią, która będzie początkiem wiosny; naprz. dla Warszawy dzień ten przypada na 13 maja¹⁾, to jest w tym dniu, w którym średnio zakwitają jabłonie. Wszystkie miejscowości, w których różnica w zaczynaniu się wiosny wynosiła najwyżej dni 7, Ihne oznaczył na mapie jedną barwą. I na tej mapie możemy stwierdzić toż samo, co i na poprzednich, opóźnianie się początku wiosny wraz z zwiększającą się szerokością i długością geograficzną oraz wzniesieniem nad poziom morza.

Mapy tego rodzaju, jak wyżej opisane, stworzyły trwale podstawy fenologii geograficznej, pozabawionej hypotetycznych dowolności fenologii rachującej. Chociaż fenologia geograficzna jest umiejętnością bardzo młodą, oddała ona klimatologii poważne usługi. Nic lepiej nie charakteryzuje jej doniosłości naukowej, jak słowa znakomitego klimatologa J. Haun'a: „Nie ulega wątpliwości, powiada on²⁾, że w wynikach spostrzeżeń fenologicznych leży łatwo zrozumiała i dosadna charakterystyka różnic klimatycznych. Z pomocą map fenologicznych udało się wykryć takie zjawiska, które z wielką trudnością można odczytać ze wskazań narzędzi meteorologicznych. Mam tu na myśli wnioski, wyprowadzone przez Ihnego z map fenologicznych finlandzkich co do związku pomiędzy ciepłem powietrza i pokrywą lodową. Cztery mapki, sporządzone przez Ihne'go dla Finlandyi, wskazują nam te czynniki, od których zależne jest zakwitanie porzeczki, czeremchy, bzu i jarzębiny.

Linie graniczne pojedynczych stref jednoczesnego zakwitania są prawie równoległe (szczególniej u jarzębiny) do równoleżników, chociaż można zauważyć pewne stałe dążenie do opadania ku południo-wschodowi, zwłaszcza w końcu maja i początkach czerwca. W tym czasie mianowicie zaczyna się tajanie pokrywy lodowej i wielkich jezior, położonych w głębi Finlandyi. Początek lata byłby w Rosyi północnej ciepłą porą roku, jednakże znaczną część ciepła słonecznego pochłaniają topniejące śniegi, co powoduje obniżenie temperatury powietrza. Charakterystyczny przebieg

¹⁾ Obliczone na podstawie 25-letnich spostrzeżeń H. Cybulskiego w ogrodzie botanicznym w Warszawie.

²⁾ J. Haun. Handbuch der Klimatologie. 3 wydanie, 1908, str. 86.

isophan zakwitania wskazuje również na stałe i coroczne zaburzenia równowagi klimatycznej, wywołane przez topnienie lodów na wybrzeżach i wewnątrz Finlandyi.

Zawiły bardzo i do tej pory niewyjaśniony jest związek pomiędzy zjawiskami fenologicznymi a wyniesieniem nad poziom morza. Pierwsi, zdaje się, poruszyli tę kwestyę bracia Schlangitweit którym udało się stwierdzić, że wraz ze zwiększającą się wysokością czas trwania okresów wegetacji skraca się znacznie; przypuszczenie to potwierdziły i późniejsze spostrzeżenia i w tem właśnie przejawia się wpływ klimatu górskiego. Błędny byłby jednak wniosek, że można dokładnie ocenić wielkość tego wpływu i przez wprowadzenie odpowiedniej poprawki (Höhenreduktion) porównać ze sobą spostrzeżenia stacyi fenologicznych, jak się to praktykuje z danymi barometrycznymi, sprowadzanymi do poziomu morza.

Zwłaszcza francuski meteorolog Angot dużo pracy i czasu poświęcił takiemu sprowadzeniu danych fenologicznych do poziomu morza bez poważniejszego wyniku. Zdawało mu, że się każdemu pionowemu wzniesieniu na 100 metrów odpowiada opóźnianie się rozwoju wegetacji o 4 dni. Usiłowania Angota są co najmniej przedwczesne, bo przecież nawet w meteorologii pomiędzy uczonymi istnieje różnica zdań, czy przy porównywaniu krzywych jednakowego ciśnienia barometrycznego (isobary) sprowadzenie wszystkich danych do poziomu morza jest uzasadnione. Wiadomo zresztą, że na rozmaitych wysokościach przy jednakowym wznoszeniu się nad poziom morza opóźnianie czy przyspieszanie rozwoju roślin jest bardzo rozmaite. Wyrachowywanie więc wszelkich poprawek i sprowadzanie danych fenologicznych do jednego mianownika jest dowolne, nie odpowiada rzeczywistości.

Tam gdzie chodzi o zbadanie wpływów każdej z trzech współrzędnych geograficznych oddzielnie, najbardziej celowa chyba będzie metoda, zastosowana przez Ihne'go.

Z licznych spostrzeżeń wybierał on naprzykład dane fenologiczne miejscowości w przybliżeniu o jednakowej szerokości geograficznej i jednakowemu wyniesieniu nad poziom morza; jeżeli wtedy okażą się jakie różnice, to kładziemy je na karb długości geograficznej, o ile naturalnie nie wchodzą w grę i inne czynniki, jak wystawienie na słońce lub własności gleby. Otrzymujemy w taki sposób szereg dat, z których każda jest funkcją jednej i tej samej zmiennej, a mianowicie długości geograficznej.

Tadeusz Kolodziejczyk.



GAWĘDY KRAJOZNAWCZE.

XIX.

Kto zna choćby z umieszczonej w t. 2 „Wewnętrznych dziejów Polski za St. Aug.” Tad. Korzona reprodukcji sztych Canaletto, przedstawiającej widok Krakowskiego Przedmieścia od Bramy Krakowskiej w Warszawie, ten zauważył zapewne, że wygląd wysuwającej się na nim na czoło kamienicy przy zbiegu Krak. Przedmieścia i Podwala różnił się niegdyś dość zasadniczo od jej stanu dzisiejszego. Pozornie zmiana jest niewielka, ale to przerobienie facyatek szczytowych i łamanego dachu mansardowego na zwykłe trzecie piętro, przykryte banalnym dachem, jest aż nadto znamienne. W przystosowywaniu zbyt świetnych i zamało odpowiadających zmienionym potrzebom praktycznym gmachów i pałaców, jakiemu podlegała i podlega Warszawa, ta kamieniczka narożna nie była odosobniona. Tam, gdzie jeszcze w w. XVIII umiano dążyć do osiągnięcia choćby skromnego lecz nie pozbawionego pewnego wykwintu i charakteru efektu, tam już w kilkadziesiąt lat później chodziło jedynie o powiększenie dochodowości z zupełnym a pogardliwym zlekceważeniem szaty zewnętrznej. Było w tem bezsprzecznie dużo ogólnych, niezależnych od jednostek warunków zewnętrznych, było ścieśnienie ram życia, którego fale opadły gwałtownie, ale był też przedewszystkiem rozwijający się stale i niemal systematycznie brak kultury estetycznej, pozbawionej świetnych wzorów, zachęty, planu i organizacji. Ginęły i giną w Warszawie wytworne, a przynajmniej pełne swoistego wdzięku i charakteru dworki, pałace, kamieniczki, ustępując koszarom dla całkowicie na to wszystko obojętnej publiczności. Za naszej już pamięci zginął prześliczny pałacyk Bielińskich przy ul. Królewskiej, wdzięczny pawilonik myśliwski na Koszykach, nie pozbawiony wyrazu dworek „pod filarami” przy ul. Marszałkowskiej, lada dzień padnie pałac Karasia. I nie byłoby w tem przystosowywaniu się do nowych warunków życia nic dziwnego, bo tą, może smutną dla miłośników pamiątek, ale nieuchronną drogą idą dziś wszystkie wielkie miasta europejskie, gdyby nie fakt, że to, co na gruzach starych „ruder” u nas powstaje, jest najczęściej przeraźliwie nudne, szpetne i kliwe. I gdyby nie to, że giną nieraz rzeczy, które możnaby bardzo łatwo uratować, że giną nie w imię istotnych potrzeb praktycznych, ale prosto przez zacieklą chęć niszczycielstwa, nie liczącą się z niczem, a najmniej z obowiązkiem, jaki się ma dla swojej w ściślejszym zakresie ojczyzny, dla miasta, w którym się mieszka, czasem od kilku pokoleń.

To też na tem tle nie tyle ponurem, ile beznadziejnie szarem i mętmem, pięknie i obiecująco odbija się pomysł nowego właściciela wzmiankowanej przez nas kamienicy, p. Johna, przywrócenia jej pierwotnego wyglądu. Ogłoszony pod egidą Towarzystwa opieki nad zabytkami konkurs dał plon dosyć obfity, nadesłano bowiem, jeśli się nie mylę, około piętnastu prac. Co prawda, były i w tem rzeczy bardzo charakterystyczne dla naszych zapatrywań współczesnych, były próby zastąpienia rzeczy banalnej przez rzecz zgoła szpetną, albo jeśli nawet nie szpetną, to niczem z charakterem i tonem najbliższego otoczenia nie związaną. Na szczęście jednak wybrano i uczczono pierwszą nagrodą plan młodego architekta, p. Konrada Kłosa, rezygnujący z nadzwyczajnych wspaniałości, które tu byłyby całkiem nie na miejscu, unikający dziwactw, a najkrótszą i najprostszą drogą dążący do istotnego przywrócenia dawnego stanu. Szczęśliwym jak na nasze warunki zbiegiem okoliczności projekt zyskał uznanie nie tylko gremium sądującego, ale i wnioskodawcy-właściciela, i są wszelkie widoki, że w najbliższym czasie ilość rzeczy bezwzględnie brzydkich i nudnych w Warszawie zmniejszona zostanie o jedną. Jeszcze tam są podobno jakieś targi o wystające na ulicę daszki-okapy nad sklepami, które wedle poglądu ciał nadzorczo-zatwierdzających mają zagrażać bezpieczeństwu czy wyglądowi miasta, ale chciejmy wierzyć, że i te przeszkody usunięte zostaną, i że piękny projekt p. Kłosa ozdobi istotnie Warszawę w jednym z ważniejszych pod tym względem jej punktów, przy wjeździe do miasta od Wisły.

Sam w sobie jest to z tem wszystkiem oczywiście fakt skromny i nikły. Ani kamienica ta nie należy do celniejszych zabytków budownictwa polskiego, ani szczerze obywatelskie poczucie swoich obowiązków p. Johna nie zamknęły jeszcze dawnego okresu. Ale przecie być może, że jeżeli nawet okres dawny — okres fuszerki i tandety, bezmyślnej banalności i barbarzyńskiego wręcz naśladownictwa rzeczy obcych, stojących nieraz na najniższym poziomie — nie został zamknięty, uchylila się brama, furtka, furteczka nowego dnia.

My tu do takich rzeczy na naszym wyjałowionym gruncie warszawskim nie jesteśmy przyzwyczajeni; nie byliśmy zgoła zepsuci pomyslnem i prawidłowym rozwiązywaniem zagadnień takiego typu, nie odzwyczailiśmy się jeszcze od wzruszania ramionami lub ściskania zębów na niezliczone przeróbki, poprawki, uzupełnienia, robiące ze świetnej niegdyś stolicy wyszarzane i wrzaskliwe zbiorowisko domów, nowoczesnych ruder i najwspół-

cześniejszego brzydactwa. W ciągu ostatnich lat kilkunastu, jeżeli nie kilkadziesiątu, możnaby zacytować ledwo jeden chyba fakt podobny, fakt oczyszczenia się ze śmieci i wyrzucenia szpetnej rudery, b. pawilonu Tow. Zachęty Szt. Pięknych, ze swojego wspaniałego podwórca przez Józefa hr. Potockiego. I dlatego ten drobny fakt drugi witamy z takim uznaniem, dlatego chcemy w nim widzieć zapowiedź niejakiego odrodzenia warstw, które o to dotychczas zgoła nie można było posądzać.

To jest przecież dla nas sprawa wcale nieposłednia, a całkiem zasadnicza natomiast. Nie mówiąc o dalekich ogniskach kultury zachodniej, już nawet w Galicyi, — w Krakowie i Lwowie — istnieją warunki, w których czynniki powołane ujęły w swe ręce sprawę wyglądu miasta i kraju, zapobieganie niszczeniu i utrzymanie pewnej łączności między tem, co pozostawiły po sobie bardziej jednolite wieki ubiegłe, a tem, co się dzisiaj wytwarza i uzupełnia. Proszę sobie tylko przypomnieć burzę, jaka się zerwała po niefortunnej uchwale rady miejskiej krakowskiej w sprawie usunięcia „niepotrzebnych” i „nieładnych” zabudowań przy kościółku św. Idziego u stóp Wawelu. Nie licząc głosów prasy i osób prywatnych, zaprotestowały bardzo gorąco i stanowczo wszystkie powołane do tego instytucje: czcigodny prof. Maryan Sokołowski, konserwator zabytków przeszłości, dr. Stanisław Tomkowicz, Tow. Opieki nad polskimi zabytkami sztuki i kultury (krakowskie), Tow. „Polska Sztuka stosowana”, Tow. upiększania m. Krakowa i okolicy, Tow. miłośników historii i zabytków Krakowa i nawet Centralna Komisya dla zabytków sztuki w Wiedniu. Protesty te, zebrane w tomiku 29 ślicznej i cennej „Biblioteki Krakowskiej” (Zygmunt Hendel i Feliks Koppera: „Kościół św. Idziego w Krakowie”) wobec szerszego motywowania swego stanowiska mogą mieć i dzisiaj pewną wartość teoretyczną i gorąco polecić je można do przeczytania tym, którzy żywią wątpliwości, czy warto robić tyle hałasu o rzeczy tak małej wagi?

U nas, w Królestwie, oczywiście, o podobnym skoncentrowanym natarciu nie może być mowy.



PROJEKT PRZEBUDOWY DOMU
NA PLACU ZAMKOWYM W WARSZAWIE

mal. Konrad Kłos

Warszawskie Tow. opieki nad zabytkami pozbawione jest wszelkiej egzekutywy i ma prawo co najwyżej do platonicznych protestów, petersburska zaś komisya archeologiczna stoi pod wieloma chyba względami za daleko od nas, aby zapobiegała niszczeniu polskich zabytków. Jest jeszcze przy Tow. op. n. zabytkami Sekcyja Starej Warszawy, że jednak do dziś dnia poza umieszczeniem kilku tablic pamiątkowych niczem działalności swej nie zaznaczyła, można jej co najwyżej serdecznie i gorąco życzyć pomyślnego rozwoju i najdłuższego a bardziej ruchliwego żywota ale liczyć na nią w tych sprawach nie można. Pozostaje tylko samorzutne reagowanie opinii publicznej, nasiąknięcie pewnych warstw gorącym przywiązaniem do własnej przeszłości i do własnych bogactw. Pozostaje przyjsie do przekonania, oddawna zapomnianego, że każdy naród, każda warstwa winny dążyć do wszechstronnego a harmonijnego rozwoju wszystkich danych, jakie w nich tkwią w zarodku, że najwyższego rozkwitu dosięga się przez całkowite wypowiedzenie swojego „ja”, że cechę swej duszy kłaść trzeba na wszystkim, czego się ręka ludzka dotyka. Że zatem naród, który chce być sobą i który chce coś znaczyć, musi nie tylko szukać własnych, sobie i swojej najgłębszej rdzennej wartości duchowej najodpowiedniejszych dróg wszędzie i zawsze, tak dobrze w nauce, przemyśle, oświacie, urządzeniach społecznych, jak w sztuce. Może nawet w tej ostatniej bardziej, niż gdziekolwiekby indziej.

Domy, jak ubrania, trzeba sobie kazać robić na miarę, a nie kupować ich gotowych, fabrycznym



ścięciem uszytych, tandetnych i zawsze obcych. Jeżeli zaś do tej pory na tem właśnie polu nie wypowiedzieliśmy się w formie skończonej, może nawet nie skryształizowali ostatecznie, nie jest to powód, ażeby wszelkie próby — nieraz tak świetne — poprzednich pokoleń wyrzucać stale za nawias, wyzywać się ich jak znoszonego odzienia.

Tu się oczywiście zaczyna dopiero błędne koło. Kto do tego przechowywania dziedzictwa u nas jest powołany, na czyich barkach i na czyjem sumieniu ta odpowiedzialność spoczywa. W braku odpowiednich instytucji i urzędów, rzecz prosta, na barkach, odpowiedzialności i sumieniu poszczególnych osób, właścicieli zabytków — „kamieniczników”. Nawet wyłączwszy z nich dochodzącą do 50% część ludzi obcych nam swojemi dążeniami i kulturą, czy można wymagać, a przedewszystkiem, czy można się spodziewać, że każdy z nich spełni to, co do niego należy, jak to spełnił p. John. Czy każdy z nich będzie miał materyalną możliwość i chęć po temu. I czy w braku znowu odpowiednich instytucji, przykładów, propagandy i t. d., można liczyć na rozpowszechnienie się wśród

ogółu zdrowszych o wartości i znaczeniu zabytków sztuki pojęć. Zapewne nie; a dlaczego brak jest instytucji i dlaczego działalność w tym kierunku zamiast biedz żwawo, wlecze się żółwim krokiem — o tem i za dużoby mówić potrzeba i nie całkiem to chyba między nami potrzebne.

Na to, żeby u nas po miastach nowa, odrodzona warstwa mieszczaństwa polskiego wyrosła, polskiego, choćby gesto była nazwiskami o obcem brzmieniu podszyta, trzeba będzie czekać zapewne dość długo. Jeszcze dłużej potrwa, zanim znajdzie ona dla siebie całkiem wyraźny i skończenie piękny wyraz zewnętrzny, zanim zechce zamieszkiwać w domach o polskim wyglądzie, polską sztuką zdobionych. Ale bez względu na to, jak odległy jest od nas ten termin, trzeba tym pokoleniom dnia jutrzejszego coś na rozpoczęcie roboty zostawić, trzeba dojść do nich choćby ścieżyną, która się potem w szeroką drogę rozwinie i trzeba—to nadewszystko — obejmować ogarniającą wszystko pamięcią i głęboko czującym umiłowaniem to, co się nam jeszcze zostało.

Boruta.



Nowe książki.

Wacław Sikorski. *Czy kraj nasz wysycha?* str. 68, Warszawa, 1910, cena 75 kop.

Omawiając na początku swej pracy teorię o wysychaniu ziemi, autor skłania się do wniosków licznego zastępu badaczy-przeciwników teorii powyższej i wraz z nimi stwierdza, że niema najmniejszych podstaw do pozytywnych twierdzeń o zmniejszaniu się lub powiększaniu ogólnej ilości wody na kuli ziemskiej od czasów najdawniejszych.

Następnie, opierając się na badaniach licznych uczonych, autor broszury stara się obalić ogólne mniemanie, że lasy podtrzymują wilgotność kraju, i wbrew mniemaniu temu dowodzi, że lasy są największym konsumentem a nawet rozrzućnikiem wody na ziemi. Autor, mówiąc tutaj o wpływie lasów na stosunki hydrograficzne kraju, nie uwzględnił jednak bardzo ważnej okoliczności, że mianowicie śniegi, spadłe na obszarach zalesionych, topnieją na wiosnę zwolna i dzięki temu mogą przez czas dłuższy zasilać wodą pobliskie rzeki i strumienie.

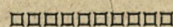
Mówiąc dalej o wpływie błot i torfowisk na nawodnienie danej miejscowości, autor na podstawie spostrzeżeń wielu uczonych udowadnia, że wpływ ten może być tylko niekorzystny i ujemny, skąd wynika konieczność osuszania obszarów bagnistych. Potwierdza to w zupełności kanalizacja błot poleskich, której poświęcony jest całkowicie jeden z rozdziałów broszury.

Dotykając wreszcie sprawy wysychania rzek naszych,

autor roztrzyga je przecząco, poczem przechodzi do praktycznych wniosków, które z pracy jego dadzą się wyciągnąć. Książkę kończy rozdział, dotyczący stosunków wodnych dorzecza Wisły.

Bogata, jak widzimy, w treść broszura p. Sikorskiego, przeznaczona przedewszystkiem do użytku rolników, może niewątpliwie zainteresować i nie jednego z czytelników „Ziemi”, chociażby stojącego zdala od pracy na roli.

A. K.



Z piśmiennictwa.

„Ludność polska na górnych Węgrzech” przez Edmunda Kołodziejczyka; „Świat słowiański”, Rocznik VI. Tom II-gi. Listopad, 1910.

Miesięcznik „Świat słowiański” w zeszytcie za listopad 1910 przynosi cenną pracę p. Edmunda Kołodziejczyka pod powyższym tytułem. Rozprawa ta, źródłowo opracowana, zasługuje ze wszech miar na uwagę i bliższe poznanie, a to tem więcej, że nasza literatura naukowa tego przedmiotu jest dość szczupła. Pisało wprawdzie w tej kwestyi wielu, ale opierano się z małym wyjątkiem na pracach uczonych czeskich i słowackich, i to pracach dawniejszych.



Omawiana rozprawa opiera się przede wszystkim na osobistych spostrzeżeniach autora, a jak je trudno przedsięwziąć wobec wrogiemu w tym względzie stanowiska rządu węgierskiego, zbyteczne byłoby podnosić.

Autor zaopatrzył swą rozprawę w trzy mapy osad polskich na górnych Węgrzech, sporządzone przezryście na podstawie dotychczasowego materiału i osobistych badań autora. Niemniej podnosi on, że mapy te „to próba i tylko taka, na jaką nas stać w chwili obecnej, praca przygotowawcza, która w przyszłości może mieć znaczenie dla mapy etnograficznego rozszedlenia całego narodu polskiego”.

Przechodząc do położenia ludności polskiej pod berłem węgierskim, która wliczona oficjalnie do słowaków nie ma ani jednej szkoły polskiej, ani jednego polskiego duchownego, słusznie pisze autor przy końcu: „Czyż sami dobrowolnie mamy zmniejszać polskie kresy? Czyż ze stoicką oziębłością i niedołęstwem politycznym będziemy spokojnie patrzeć, aż obce fale pochłoną 125,000 polskiej ludności?”

Na szczególniejszą uwagę zasługuje też nader sumiennie zestawiona literatura tego przedmiotu aż po czas ostatni, wymieniająca między innymi cenną pracę G. Smólskiego „Lud polski na górnych Węgrzech”, drukowaną w „Ziemi” (№ od 4-go do 13-go z ubiegłego roku).

W końcu jeszcze jedno. Autor wszędzie pisze „Spisz” a nie „Spiż” i tę pierwszą pisownię uważa za jedyne słuszną, podnosząc, że „tak pisano w dawniejszych czasach, a i obecnie górale zachowują tę właściwość fonetyczną w mowie”. Jedyne przypadkowe podobieństwo z wyrazem „spiż” spowodowało, zdaniem autora, błędną pisownię nazwy kraju.

W. F.

□□□□□□□□□□

Kronika Krajoznawcza.

+ Grono konserwatorów Galicyi wschodniej sprzeciwiło się na podstawie referatu kons. prof. dra Finkla zamierzonemu przez konwent oo. dominikanów w Czortkowie rozebraniu starej baszty w dawnym murze fortyfikacyjnym, otaczającym klasztor, oraz zwróciło uwagę na konieczność odrestaurowania posągu św. Wincentego, umieszczonego we wnęce muru i wmurowania w ściany kościoła płyt grobowych z XVII wieku.

Na podstawie opinii technicznej arch. Mokłowskiego udzielono starostwu w Trębawli wskazówek co do sposobu konserwacji ruin tamtejszego zamku i monasteru pobazylińskiego w Podgórzanach, będącego obecnie własnością gminy m. Trębawli.

Postanowiono zaproponować centralnej komisji konserwatorskiej przyznanie subwencji państwowej na restaurację i rozszerzenie murowanej cerkwi w Michalczu (pow. horodeński), oraz sprzeciwno się w porozumieniu z komisją centralną rozebraniu cerkwi drewnianych w Manajowie, Milowcach i Przegnojowie, tudzież dzwonnicy w Włodzimircach.

Uchwalono zwrócić się do Wydziału krajowego o wyjednanie subwencji sejmowej na konserwację cerkwi w Chlebowie. Na ten sam cel przeznaczęło grono kon-

serwatorów oraz hr. Koziobrodzki i hr. Lanckoroński datki po 100 koron.

Na wniosek kons. dra Czołowskiego postanowiono sprzeciwić się rozebraniu murowanej cerkwi z XVI wieku w Gródku Jagiellońskim, oraz powierzyć p. Jakóbiakowi, właścicielowi pracowni snycersko-pozłotniczej odnowienie barokowego ikonostasu w cerkwi w Jeziernej.

Kons. hr. Szeptycki oznajmił, że zgodził się na rozebranie późniejszej dobudówki do zamku sanockiego, w której mieścił się urząd podatkowy, przyczem zawiadomił, że reszta zamku będzie stylowo odrestaurowana pod kierownictwem dyr. Hendla.

Na podstawie referatu kons. dra Barwińskiego zgodzono się na przedstawiony przez arch. p. Mokłowskiego projekt rozszerzenia kościoła w Brzozdowcach za pomocą dobudówki od strony ołtarzowej, co jest najwłaściwszym rozwiązaniem zadania ze względu na to, że ta część kościoła jest nowa i pochodzi z przed lat kilkunastu.

Na wniosek kons. dra Finkla postanowiono przedłożoną gronu przez zarząd fundacyi ubogich im. Sadowskiego ofertę na zakupno zamku w Wygnance obok Czortkowa (założonego przez rodzinę Golskich w XVII wieku) odstąpić Wydziałowi krajowemu w wnioskiem nabycia tego zabytku na rzecz kraju.

Uchwalono dalej zwrócić uwagę Romana hr. Potockiego na opłakany stan, w jakim się znajduje będący jego własnością zamek w Starem Siole, założony w połowie XVII wieku przez Władysława Dominika ks. Ostrogskiego i Zasławskiego, oraz zwrócić się do zarządu dóbr Jakóba hr. Potockiego w sprawie usunięcia z piwnicy zamku brzeżańskiego (zbudowanego w XVI wieku przez Mikołaja Sieniawskiego) składów lodu, który topniejąc zawilgaca i niszczy mury w najcenniejszej części zamku, w której się mieści kaplica.

Przy tej sposobności kons. dr. Czołowski podał do wiadomości, że p. Hipolit Śliwiński przyrzekł własnym kosztem sporządzić i ofiarować Gronu zdjęcia architektoniczne zamku w Brzeżanach.

Postanowiono dalej zająć się zbadaniem ruin wieży, względnie baszty w Pietniczanych (pow. bobrecki).

Sprzeciwno się zamierzonemu nasadzeniu trzeciego piętra na oficynach kamienicy w rynku № 5 we Lwowie, gdyż wskutek tego zostałyby zupełnie zaciemnione ubikacje podwórzowe sąsiedniej kamienicy № 4, niegdyś Lorentowiczów, która należy do najcenniejszych zabytków architektury starego Lwowa.

W Folwarkach (pow. brodzki) znaleziono monety polskie z XVIII w., a w Bzowicy (p. zborowski) monety hiszpańskie, belgijskie i niemieckie z XVII w. Postanowiono zwrócić się do starostw z prośbą o nadesłanie ich Gronu do zbadania.

Kons. dr. Czołowski oznajmił, że w Stulsku (pow. żydaczowski) wykopano monety, a mianowicie 194 sztuk srebrnych i miedzianych szóstaków i ortów Zygmunta III, koronnych i gdańskich. Monety te nabyło Muzeum im. Jana III.

Kons. dr. Barwiński podał do wiadomości, że wspólnie z bibliotekarzem z Upsali, drem Collijnem, zbadał inkunabuły, znajdujące się w bibliotekach: Uniwersyteckiej, Ossolińskich, Baworowskich, Poturzyckiej i Do-



minikanów. Inwentarz znalezionych inkunabułów ukaże się niebawem.

Kons. dr. Hadaczek przedłożył komunikaty o zabytkach przedhistorycznych.

Podane przez dzienniki wiadomości o odkryciu w Kruhelu Małym szkieletu człowieka z epoki dyluwialnej, oraz o odkryciu w Staruni wytworów ręki ludzkiej z tej epoki, okazały się nieprawdziwe. Również w Bosyrach nie odkryto bożka pogańskiego, czy też t. zw. „baby”, gdyż kamień tam znaleziony jest dziełem natury, ukształtowanym dziwnie przez wpływy atmosferyczne.

Na polach koło Augustówki i Chorobrowa odkopano cmentarzysko z wczesnych czasów historycznych, złożone z grobów, zawierających same szkielety bez datków pośmiertnych.

W Psarach przy budowie drogi obok ogrodu dworskiego rozkopano i zniszczono całe cmentarzysko, złożone z grobów rodzinnych, mieszczących razem około 50 szkieletów. Znaleziono w nich liczne naczynia, miseczki, fibuły brązowe, paciorki szklane, kamienne i bursztynowe, grzebyki kościane i małe wisiorki w kształcie toporków, nie mogły być naukowo zbadane, gdyż rozebrali je mieszkańcy Rohatyna. Prof. Hadaczek przedsięwziął dodatkowo rozkopy po obu stronach drogi i znalazł cztery szkielety, a przy nich brązowe broszki o typie 4 i 5 wieku po Chr., miseczkę czerwoną, kolczyk i paciorki, pochodzące z naszyjników, a wreszcie ślady palonych kości, co wskazuje, że obok szkieletowych mogły być tam nieliczne groby urnowe. Cmentarzysko to pochodzi z tych samych czasów, co wykopaliska w Grabarce Niestuchowskiej.

Niezanotowane dotąd w literaturze horodyszcze koło Tudorowa (pow. husiatyński), jak wykazały próbne rozkopy, jest zabytkiem bardzo wczesnych czasów słowiańskich.

Cztery mogiły, znajdujące się na parceli Pentali-chon, jedna duża i trzy małe, nie zawierają śladów grobów i zostały prawdopodobnie wzniesione jako mogiły pamiątkowe czyli kenotafia.

Prowadzone od trzech lat rozkopy w Koszyłowcach na niwie „Obór” dały prof. Hadaczkowi pewność, że odkrył tam osadę przemysłową, gdzie wyrabiano naczynia malowane i wypalano figurki z gliny. Badania terenowe, które objęły szerszy teren, wykazały istnienie koło leśniczówki cmentarzyska urnowego z wczesnych czasów słowiańskich o ciałach palonych.

Wczesna osada słowiańska znajdowała się w Ściance obok Koszyłowic; świadczą o tem fragmenty szklanych bransolet, wyroby z kości i fragmenty naczyń.

W Horyhladach (pow. tłumacki) odkrył właściciel tamtejszych dóbr, p. Wiśniewski, miejscowy nauczyciel tkwiące w brzegu dniestrowym szczątki dużego naczynia w kształcie rezerwoaru z uszami, pochodzącego z epoki neolitycznej. Podobne naczynie znajduje się tylko w Bilczu złotem.

Wreszcie podał prof. Hadaczek do wiadomości, że otrzymał od starostwa w Horodence skarb monet srebrnych, złożony z 32 dukatów holenderskich z lat 1622—1687, oraz że radca namiestnictwa p. Kruszyński nadesłał mu fotografię urny, wykopanej w mogile nad Styrem w Romanówce, pochodzącej z I połowy pierwszego tysiąclecia przed Chr. o typie wykopalisk w Czechach, Jasionowie i Wysocku wyżnem.

□□□□□□□□

Odpowiedzi Redakcyi.

P. Józefie Sułkowskiej w Mińsku lit. Wiadomość o rodzie i ordynacyi S. znaleźć można w dziełku: „Polskie ordynacje i związki rodzinne z szczególnie uwzględnieniem ordynacyi ks. Sułkowskich” — Konstantego Kościńskiego (50 kop.) oraz „Złotej księdze szlachty polskiej” — Żychlińskiego, t. IV. Oczywiście, są to wiadomości ogólne, chcąc zaś przedsięwziąć kroki konkretne, należałoby się zwrócić do któregoś z adwokatów poznańskich. Poczujemy się do obowiązku przestrzedz panią jednak, że byłoby to chyba kroki już bezwzględnie spóźnione, nie mówiąc o tem, że prawo do ordynacyi miały nie wszystkie linie Sułkowskich, a tylko niektóre z ich, w statucie ordynacyi wyszczególnione, i to pod pewnemi, z góry przewidzianemi a nie dającym się dziś dopełnić zastrzeżeniami.

Panu W. Z. Ocenę wybitniejszych nowości krajoznawczych umieszczamy stale w „Ziemi”, przyczyną zwłoki zaś może być tylko nienadsyłanie przez wydawców egzemplarzy recenzyjnych. Całkowity spis znaleźć pan może w miesięczniku p. t. „Książka”, wydawanym przez księgarnię Wendego w Warszawie (2 rb. rocznie). Co się tyczy poddawania powieściopisarzom tematów krajoznawczych, przekracza to stanowczo zakres działalności naszej; wreszcie cały szereg arcydzieł literatury doby ostatniej jest jak najściślej z tem naszym rodzimem związany. — Biblioteka P. T. Kr. otwarta jest codziennie od 6—8; oddawać ją dłużej na usługi publiczności nie pozwala, niestety, brak środków.

TREŚĆ: A. Sujkowski—Kultura a ludność; A. Chętnik—Rybołówstwo na Narwi (z 5 ryc.); Fr. Bujak—Z ekspedycyi naukowej do Afryki; W.F.—Dwory, zamki i pałace. 17) Zamek w Starem Siole (z 4 ryc.); T. Kolo-dziejczyk—O prowadzeniu spostrzeżeń fenologicznych; Boruta—Gawędy krajoznawcze (z 1 ilustr.); Nowe książki. Z piśmiennictwa. — Kronika Krajoznawcza. — Odpowiedzi Redakcyi. — Poza tekstem: Z naszych krajobrazów. 14. Z okolic Kijowa.

Winietę tytułową i ozdoby (motywy krakowskie) w tekście rysował Mikołaj Wisznicki.—Odbito w tłoczni Piotra Laskauera.—Składał i łąkał St. Miścicki.—Odbijał na maszynie Waleryan Szlicht.—Klisze wykonano w zakładzie B. Wierzbickiego i S-ki.—Papier krajowy z fabryki A. Moesa w Pilicy.

Redaktor i Wydawca Kazimierz Kulwieć